



P
A
T
O
G
E
N

Andrzej Sławski

PATOGEN

Opowiadanie fantasy

Andrzej Sławski
Katowice 2023

Zofii (przeczyta jak dorośnie)

Nr ISBN: 978-83-962599-4-3



Katowice 2023
Wydanie prywatne - Progras
progras@op.pl
Wydanie I
Nakład 30
Wydrukowano: JKB Print Warszawa
Projekt okładki i nota - Małgorzata Wienczek

*Wasza mowa niech będzie: "Tak - tak,
nie - nie". A co nadto, z zepsucia jest.*

Ew. św. Mateusza 5,37

Człowiek współczesny *homo sapiens sapiens* pojawił się w Europie około 40 tysięcy lat temu. W tym czasie od ponad 150 tysięcy lat żyli tu neandertalczyki. W przeciągu zaledwie 10 tysięcy lat od chwili pojawienia się człowieka współczesnego, z nieznanych dotąd przyczyn, neandertalczyki wyginęli.

Trzydzieści tysięcy lat przed naszą erą. Górny paleolit*. Jaskinia w południowo-zachodniej Francji. Plemię „Gota”.

- Bune, ogień gaśnie!

Matka Bune krzyknęła w głąb jaskini.

- Już idę.

Z ciemnego wnętrza usłyszała odpowiedź. Po chwili wyszedł z niej 17 letni mężczyzna. Jego jedynym ubraniem było futro niedźwiedzia jaskiniowego, przesyte grubym ścięciem ze zwierzęcego ścięga. Choć był młody, to był już uważany za dorosłego członka plemienia. Połamał kilka gałęzi i dołożył do tlącego się przed wejściem do jaskini ogniska.

.....

Górny paleolit* - to okres starszej epoki kamienia, trwający mniej więcej od 40 do 10 tys. lat temu.

- Pilnuj, bo drewno jest wilgotne i trudno byłoby wykrzesać ogień.
- Matko, ja zawsze wykrzeszę ogień, nawet w czasie deszczu. To dla mnie nie problem. Ojciec mnie nauczył.
- Idź, nazbieraj więcej gałęzi, bo za chwilę będę piec mięso. Potem przypilnujesz młodszej siostry.
- Chciałem iść na ryby.
- Pójdiesz wieczorem, jak będę wolna. A i pamiętaj żebyś tam nie skakał ze skały do rzeki.

Bune się uśmiechnął.

- Dlaczego? przecież wszyscy młodzi tam skaczą. Sama mi mówiłaś, że też tam skakałaś. Mówiłaś nawet, że skoczyłaś z „Serca”.

Oboje z matką wiedzieli że „Serce” to charakterystyczna formacja skalna, niemal na szczycie skały rzecznej klifu. Tak na nią mówiono, bo kształtem przypominała serce. Skoki z „Serca” wykonywali tylko najodważniejsi. Było 20 metrów nad powierzchnią wody.

- Z „Serca” skoczyłam tylko raz i bardzo się bałam. Dno jest tam niepewne. Rzeka niesie muł. Każdego lata jest inaczej. Raz jest tam głęboko, a raz bardzo płytko. Trzeba uważać.
- Kiedy wróci ojciec?
- Kto ich tam wie. Już pół księżyca ich nie ma.
- Długo jeszcze będą chodzić?
- Chyba nie. Wojownicy mówili ostatnio, że leśnych już nie ma w okolicy. Zabili prawie wszystkich, a reszta uciekła.
- Kiedy ja zostanę wojownikiem?

- Zostaniesz, już niedługo. Nie spiesz się do tego. Zabijanie leśnych to nic dobrego.

Bune nazbierał gałęzi i wrócił do jaskini. Usiadł koło matki i przytulił się do niej. Ta objęła jego młodą głowę.

- Matko, dlaczego musimy ich zabijać? Przecież nic złego nie robią.
- Mylisz się, ludzie lasu nienawidzą nas. Jeśli ich nie zabijemy, to oni przyjdą w nocy i zrobią to z nami.
- Dlaczego nas nienawidzą?
- Bo nasi porywali Kulug.
- Jak wygląda Kulug? Słyszałem o niej. Starzy opowiadali o niej przy ognisku, ale nigdy jej nie widziałem.
- Są piękne. Najpiękniejsze są te niewidome, mają fioletowe oczy.
- Fioletowe oczy?
- Tak i piękne ciało.
- Jak piękne?
- Piękne, mają delikatną budowę i piękną twarz.
- Dlaczego je porywaliście?
- Nasi mężczyźni chcieli je posiadać. Nie potrafili się oprzeć.
- Leśni ich bronili?
- Tak, bardzo ich bronili. Były dla nich bardzo ważne. Były mądre i sprytne. Radziły im i umiały leczyć rany i choroby.
- Widziałaś kiedyś Kulug?
- Raz tylko, bardzo dawno, jak byłam dzieckiem. Wojownicy ją chwycili i przyciągnęli do wioski.
- Co z nią zrobili?
- Posiedli ją, a potem zabili.

- Dlaczego ją zabili?
- Nienawidzili Kulug. One wiedziały kiedy nasi kłamią i szykują podstęp.
- Krzyczała?
- Raczej płakała, bardzo cierpiała.
- Jak wyglądała?
- Była piękna. Było mi jej bardzo żal, ale nic nie mogłam zrobić.

Trzy miesiące później.

Był ciepły, letni dzień. Zbliżało się południe, Było słonecznie i gorąco. Dzieciaki szukały ochłody w wodzie. Krzyki dokuczającej młodzieży odbijały się od otaczających skał i lustra wody w rzece. Kąpały się nago wszystkie podrostki plemienia. Chłopcy i dziewczyny. Było ich kilkanaście w różnym wieku. Był wśród nich Bune, jego o rok młodszy brat Katu oraz znacznie młodsza siostra, Ava. Był tam również rówieśnik Bune, jego najlepszy przyjaciel, Telo. Ci starsi oczywiście popisywali się przed sobą nawzajem. Chcieli zaimponować najładniejszym dziewczynom. Wiele z nich wchodziło już w wiek rozrodczy, który zaczynał się gdzieś między 15 a 16 rokiem życia i młodzież spontanicznie łączyła się w pary, które przeżyją krótkie życie ze sobą, wychowując potomstwo. Choć nie znano jeszcze pojęcia małżeństwa, to związki najczęściej były trwałe i monogamiczne, co nie znaczy, że wierne sobie. Więzi społeczne i rodzinne były podstawą sukcesu w przetrwaniu plemienia.

Ulubioną zabawą młodzieży nad rzeką były skoki do wody ze skały. Skakali niemal wszyscy, ci najmłodszy też,

ale z różnych wysokości. Natomiast na skok z „Serca” mało kto się odważył. Ta skała była naprawdę wysoka i skoki stamtąd były niebezpieczne. Katu, brat Bune chciał zaimponować jednej z dziewczyn, którą pożądał. Ona również zerkała na niego przychylnym wzrokiem.

- Bune, idę skoczyć z „Serca”!

Katu zawołał do brata.

- Ani się waż, matka kazała mi ciebie pilnować!

Katu się roześmiał.

- Ty cykorze byś nie skoczył, ale ja idę!

- Już stamtąd skakałem!

- Taaa, akurat, kto to widział?!

- Panienska ci się podoba, kogucie jeden. Myślisz, że ci da!

Bune również się roześmiał.

- No dobra, jak chcesz, ale twoje ryzyko. Tylko poczekaj, zanim skoczysz z „Serca”, to podpłynę tam i sprawdzę dno.

Bune wskoczył do wody z brzegu i popłynął pod najwyższą skałę, a Katu w międzyczasie wspinał się na nią. Gwar młodzieży ucichł. Wszyscy z ciekawością zaczęli przyglądać się Katu. Jego wybranka szczególnie uważnie. Bune wziął głęboki oddech i zanurkował. Po dłuższej chwili jego głowa się wynurzyła i krzyknął do brata, który stał już na krawędzi skały, 20 metrów nad

wodą.

- Trzy włócznie! Jest głęboko, możesz skakać.

Katu długo spadał z wrzaskiem, przebierając nogami. Skok zakończył się głośnym pluskiem. Na moment zniknął pod wodą, ale po chwili wynurzył swoje uśmiechnięte, młode oblicze. Wydzierał się z radością, że jest najodważniejszy. Całe towarzystwo nagrodziło śmiechem wyczyn śmiałka. Po chwili skoczył stamtąd również Bune, jego przyjaciel Telo i kilku innych chłopców. Ryzyko popłaciło. Katu wieczorem, z dala od innych, dostał od wybranki to, na co tak bardzo liczył. To był jego pierwszy raz.

Miesiąc później.

- Mężu jak sprawił się nasz syn?

- Dobrze, Bune jest silny i sprytny. Umie walczyć wręcz i strzelać z łuku. Przeszedł inicjację. Jest wojownikiem, jak jego rówieśnicy.

- Pójdzie z wami?

- Tak, jutro pójdzie z nami.

- A Katu?

- Nie, on jest jeszcze za młody.

- Dużo ich jeszcze zostało?

- Ostatnia osada o której wiemy. Resztę już zabiliśmy.

- Uważaj na Bune, kocham go. Nie ma doświadczenia.

- Nic mu nie będzie. Umie walczyć.

Pięć dni później.

Wojownicy o świcie podkradli się do jaskiń zasiedlo-

nych przez leśnych. Nikt ich nie zauważył. Noc była ciepła. Spali wewnątrz i na zewnątrz przy kręgu ogniska. Z przygasłego ognia wydobywał się jeszcze zapach pieczonej ryby. Napastnicy ruszyli do walki. Polanę przeszywał rozpaczliwy krzyk mordowanych istnień. Ich mężczyźni zaczęli wybiegać z jaskiń i podjęli walkę. W jednej z nich mieszkała ostatnia w tej okolicy Kulug. Najstarsza z kobiet krzyknęła do niej:

- Uciekaj do swojej kryjówki!

Ta, choć była niewidoma, to dobrze znała drogę. Wspięła się po omacku na pobliską skałkę i wczołgała do bardzo wąskiej i głębokiej groty. Zamarła w milczeniu i bezruchu. Tymczasem bitwa dobiegała końca. Złożyło się tak, że naprzeciw najwaleczniejszego z leśnych wojowników, który jako jeden z ostatnich został jeszcze przy życiu, stanął Bune. Jego ojciec zauważył, że grozi mu niebezpieczeństwo i napiął łuk. Jednak było już za późno. Bune, choć się odchylił, to nie uniknął uderzenia w głowę krzemiennym toporem. Zaraz potem ostatni z obrońców zginął trafiony strzałą. Przeszukano jaskinie i zabito wszystkich leśnych, włącznie z kobietami i dziećmi. Nikomu, oprócz Kulug nie udało się uciec. Jej, pomimo starannego przeszukania jaskiń, nie znaleziono. Atakujący stracili tylko kilku wojowników. Niestety wśród nich był również Bune. Leżał nieprzytomny z rozbitą głową a z ust i z uszu ciekły mu strużki krwi. Jego ojciec, który to sprawdzał, nie wyczuł u niego bardzo słabego tętna i uznał go za zmarłego. Zresztą nawet jakby jeszcze żył, to z taką raną i tak musiał umrzeć. Nie można było mu już pomóc. Atakujący pozostawili go wraz z innymi poległymi. Do swojej

osady mieli pięć dni drogi. Nie byliby w stanie go nieść. Wiedziano, że ciałami w krótkim czasie zajmą się leśne zwierzęta. Po powrocie wojowników matka z wielkim bólem, długo opłakiwała śmierć swojego ukochanego, najstarszego syna.

Kulug po kilku godzinach od napadu wyczołgała się z trudem ze swojej kryjówki. Zapanowała cisza i domyślała się, że napastnicy już odeszli. Potykała się o ciała członków swojego plemienia. W tym o ciała swoich rodziców i rodzeństwa. Jej stopy były lepkie od krwi. Była przerażona i głośno płakała. Nie była w stanie przeżyć tu sama. Była od urodzenia niewidoma. Zdawała sobie sprawę, że za kilka godzin lub kilka dni, padnie łupem dzikich zwierząt. Ona sama nie chciała już żyć. Pragnęła, żeby śmierć przyszła jak najszybciej. Wtem ze zdziwieniem stwierdziła, że jedna z ofiar jeszcze żyje. Już po pierwszym dotyku wiedziała, że to nie jeden z ich, ale młody chłopak z plemienia napastników. Fizycznie ludzie lasu różnili się od Gota. Kulug z wielkim wysiłkiem wciągnęła go do jaskini. To był Bune. Kulug miała na imię Sotu i była w tym samym wieku co on. Usiadła obok i położyła sobie na kolanach jego nieprzytomną głowę. Pochyliła się nad nim i przytuliła ją do swoich nagich piersi. Zamarła w tej pozycji na wiele godzin nie odzywając się ani słowem. Na drugi dzień rano znalazła tykwę z resztkami wody i napoiła Bune. Jego stan szybko się poprawiał. Po południu odzyskał przytomność, ale był bardzo słaby i miał wysoką gorączkę. Wymawiał jakieś słowa, których Sotu nie rozumiała. Język Gota bardzo różnił się od pradawnego

języka, jakim posługiwali się leśni. Sotu znalazła przy ognisku resztki pieczonej ryby. Nie było tego wiele, ale podzieliła je między siebie a Bune. W kolejnym dniu gorączka Bune spadła i ten zaczął rozglądać się wokół siebie. Był bardzo słaby. Powoli dochodziło do niego w jakiej sytuacji się znalazł. Powiedział Sotu, że chciałby coś zjeść i napić się wody, jednak ta pokazała mu, że jest niewidoma i nie ma już wody, ani nic do jedzenia, a ona została tu sama. Do tego ognisko wygasło i słychać było, że dzikie zwierzęta zbliżają się do jaskini. Zrozumiał, że dziewczyna jest w takiej samej sytuacji jak on i jeśli nie wstanie i nie zdobędzie czegoś do jedzenia, to oboje umrą z głodu i pragnienia albo zginą zabici przez zwierzęta. Podniósł się z trudem i wyszedł na zewnątrz. Sotu była już tak słaba, że nie umiała mu pomóc. Bune szybko znalazł owoce i źródło. Rozpalił również ognisko. Teraz on zaczął opiekować się niewidomą Sotu. Był zauroczony jej pięknem i teraz dopiero skojarzył to z faktem, że dziewczyna nie widzi. Podeszedł do niej i wyjąkał z przejęciem:

- Ty jesteś Kulug?

Skinęła głową. Spodziewała się, że Bune ją zabije, jednak on uklęknął przed nią i zaczął przeproszać za to, co on i jego ludzie zrobili jej plemieniu. Sotu nie wszystko rozumiała, ale wiedziała, że Bune jest szczerzy i dobry. Rozpłakała się i przytuliła do niego. Bune nie rozumiał, że zawdzięcza jej życie. Szybko wracał do zdrowia. Zaczął polować, łowić ryby i zaopiekował się dziewczyną. Pochował też wszystkich zabitych, ściągając ciała do zbiorowej mogiły w dość odległym parowie i przysypując je ziemią, darnią i kamieniami.

W jednej z wybranych jaskiń zamieszkali razem.

Minęło już pół roku od chwili kiedy tragiczne wydarzenia złączyły Sotu i Bune . W tym czasie nikt z ludzi Gota ani leśnych tam nie przyszedł. Para mieszkała sama. Bune nie mógł wrócić do swojego plemienia nad rzekę, bo musiałby zostawić Sotu samą. Ta bez opieki marnie by zginęła. Nie mógł również przyprowadzić jej do swoich, bo starsi wojownicy natychmiast by ją zabili. Szukanie leśnych też nie miało sensu, bo tamci zabiliby jego. Parę połączyła prawdziwa miłość. Bune nie dałby skrzywdzić Sotu nikomu. Kochał ją bezgraniczną i odwzajemnioną miłością. Kochał fioletowe oczy swojej partnerki. Nie przeszkadzało mu w niczym, że nie widzą. Był gotowy oddać za nią życie. Nauczył ją mówić w języku Gota. Nie było to zbyt trudne, bo język składał się z około dwóch tysięcy słów, ale i tak był znacznie bogatszy od dawnego języka leśnych. Leśni w niczym nie ustępowali inteligencją „Gota”. Było jeszcze coś, co od niedawna łączyło parę. Sotu wyraźnie się zaokrągliła. Była w ciąży.

Telo, przyjaciel Bune, choć był już dorosłym, samodzielnym mężczyzną, to był nieśmiały i miał problemy ze znalezieniem sobie życiowej partnerki. Może dlatego, że był lekkoduchem i aż tak bardzo mu na tym nie zależało. Natomiast odczuwał potrzebę odkrywania. Lubił chodzić na nowe, nieznane tereny. Jego rodzice przestali się nim opiekować, bo był już

dorośli, a oni mieli jeszcze młodsze dzieci. Telo był wolny i mógł robić co chciał. Był świetnym łowcą, lubił polować i w przeciwieństwie do większości członków swojego plemienia, nie bał się zostawać samemu w lesie nawet w nocy. Las znał lepiej od innych. Często zapuszczał się głęboko w puszcę za dorodnym jeleniem, kozłem czy stadem dzików. Nikogo nie interesowało, że zniknął na kilka dni. Nie musiał się nikomu tłumaczyć. Cieszono się jak wracał z upolowaną zwierzyną. Cała grupa z tego korzystała i ceniła go za to. Telo również ciężko przeżył śmierć Bune. Pewnego razu zapędził się w puszcę dalej niż zwykle. Wiedział z opowiadań, gdzie pół roku temu wojownicy jego plemienia zaatakowali ludzi lasu, wtedy jak zginął Bune, ale on sam nie brał jeszcze w tej wyprawie udziału. Ponieważ był niedaleko, postanowił sprawdzić czy ludzie lasu tam powrócili. Dyskretnie zakradł się w miejsce, które znał z opisu innych. Był dumny z siebie, że udało mu się je znaleźć. Spomiędzy wysokich krzewów, z ukrycia, obserwował dużą leśną polanę z grupą formacji skalnych, pełnych jaskiń. Nie widział nikogo żywego. Nagle poczuł na swojej szyi chłód obsydianowego ostrza. Ktoś złapał go silnie za włosy. Zamarł z przerażenia. Wiedział, że zaraz zginie. Obrócił głowę, żeby w ostatniej chwili swego życia przyjrzeć się napastnikowi. Zaskoczenie ustąpiło miejsca strachu.

- Bune!

Krzyknął.

- Telo???

Odpowiedział mu zdziwiony głos.

- Bune, ty żyjesz????!!! Twój już opłakali twoją śmierć.

Obaj mężczyźni rzucili się sobie w ramiona.

- Telo, jesteś sam?

- Tak, dlaczego nie wracasz? Co się z tobą działo?

- Nie mogę wrócić, a ty nie możesz nikomu powiedzieć, że żyję i że mnie tu spotkałeś.

- Dlaczego?

- Chodź, pokażę ci.

Bune zaprowadził Telo do swojej jaskini. U wejścia czekała Sotu w zaawansowanej ciąży.

- O jacie, Bune? będziesz miał dziecko z Kulug?

- Tak.

- O jacie!

Telo zaczął regularnie, co kilka tygodni, odwiedzać Bune i Sotu. Zaprzyjaźnił się z nimi obojga jeszcze silniej niż wcześniej. Nigdy nie przychodził z „pustymi rękoma”. Bune i jego kobieta mieli od tego czasu aż nadto żywności. Zbliżał się czas porodu Sotu. Bune powiedział Telo, że jak Sotu urodzi i dojdzie do siebie, to zamierza odejść stąd i szukać bezpieczniejszego miejsca dla swojej rodziny.

W osadzie Telo, nad rzeką, również szykował się poród. W zaawansowanej ciąży była kobieta Katu, brata Bune. Ta sama, która uległa jego urokowi po skoku ze

skały w kształcie serca. Kiedy szczęśliwie urodziła, to Telo postanowił iść na polowanie, aby wspólnie, przy ognisku i posiłku cieszyć się z nowego członka wspólnoty. Taka była plemienna tradycja. Był w lesie trzy dni. Wrócił do swojej osady obładowany drobną zwierzyną. Jak przyszedł, to zauważył pewne zdenerwowanie i poruszenie pośród swoich bliskich. Zwrócił się do ojca:

- Stało się coś?
- Nic takiego, ale musimy uważać.
- Co się stało?
- Przyszli do nas zwiadowcy innej grupy Gota.
- Co chcieli?
- Ich wódz prowadzi dużą gromadę. Około 200 ludzi i szuka nowego miejsca do życia. Jest nas coraz więcej.
- I co?
- Starsi powiedzieli im, że zostały puste jaskinie po ludziach lasu i tam mogą się osiedlić. Wytłumaczyliśmy im gdzie to jest. Poszli sprawdzić. Chyba będziemy mieli nowych sąsiadów pięć dni drogi stąd. Powiedzieli, że jeśli miejsce będzie odpowiednie, to pójdą po swoich.

Telo zamarł z przerażenia.

- Ilu ich było?
- Sześciu, a czemu pytasz?
- Kiedy poszli?
- Dwa dni temu.

Nic więcej nie chciał wiedzieć. Zostawił zwierzynę i rzucił się pędem w stronę lasu. Biegł tak szybko, jak mógł. Jednak w drugim dniu osłabł i musiał się

zdrzemnąć. Nie umiał iść szybciej. Jak dotarł na miejsce po czterech dniach to przywitała go cisza. Jego oczy wypełniły się łzami. U progu jaskini leżały martwe ciała Bune i Sotu. Były poprzesywane wieloma strzałami. Uklęknął przy Bune i przytulił jego głowę. Szlochał w rozpacz. Na miejscu nie było nikogo żywego. Widocznie zwiadowcy od razu poszli przyprowadzić tu swoich. Telo odciągnął ciała Bune i Sotu do zagłębienia i pochował je, przykrywając kamieniami. Już chciał wracać z powrotem, gdy nagle usłyszał jakiś słaby dźwięk. Na początku pomyślał, że ciała zabitych przyciągnęły już padlinożerców. Słyszał jakby słabe kwilenie. Poszedł w tamtą stronę i zrozumiał, co właściwie słyszy. Nie miał już wątpliwości. Spomiędzy skał dochodził płacz noworodka. Wreszcie znalazł właściwą szczelinę. Na tyle szeroką, że drobny człowiek mógłby tam się wcisnąć. Z trudem sięgnął po dziecko zawinięte w kawałek kozłęcej skóry. To była dziewczynka. Mogła mieć dwa lub trzy tygodnie. Spojrzał w jej oczy i odetchnął z ulgą. Nie były fioletowe ale niebieskie. Dziecka Kulug jego wspólnota na pewno by nie przyjęła, ale ta dziewczynka niczym nie różniła się od dzieci jego plemienia. Wziął małą i ruszył z powrotem. Dziecko płakało coraz głośniejsze, było głodne. Telo nie miał zbytnio pojęcia o opiece nad noworodkiem, ale jedno wiedział na pewno. Po pięciu dniach drogi do swoich, dziecko bez jedzenia umrze z głodu. Przyniesie je martwe. Nie miał wyjścia, musiał eksperymentować. Szukał słodkich owoców i rozgryzał je w ustach do postaci papki, a następnie bezpośrednio z ust podawał je dziecku. To samo zrobił z kawałkiem pieczonej ryby, którą miał ze sobą. Sam się dziwił, że wystarczyło, żeby donieść małą żywą do osady. Wszyscy się zbiegli, żeby

ją oglądać. Trudno było im uwierzyć, że Telo znalazł ją żywą w lesie. Starszyzna plemienna uznała, że dziecko jest rasy plemienia Gota i pozwolono aby zostało w osadzie. Telo odetchnął z ulgą. Nigdy nie zdradził kim byli jego rodzice. Mała wreszcie trafiła tam, gdzie powinna. Została przystawiona do drugiej piersi kobiety Katu. Ta nie miała pojęcia, że została mamką dziecka, którego ojcem był nieżyjący już brat jej wybranka. Żartowała z uśmiechem:

- Ale się mała przyssała.

Rok 2035. Paryż. Opowieść Victora.

Paryż przywitał mnie słoneczną, ciepłą pogodą. Był początek lata. Tak... to ja jestem Victor. Cieszyłem się, że po tylu latach wróciłem tu na dłużej. Bywałem we Francji czasem z rodzicami, jednak teraz los sprawił, że przyjdzie mi tu spędzić przynajmniej rok. Możliwość odbycia rocznego stażu w wiodącym na świecie ośrodku naukowym, bardzo mnie ucieszyła, ale jednocześnie zaskoczyła. Dopiero co udało mi się znaleźć fajną pracę w instytucie zajmującym się badaniami genetycznymi w moim rodzinnym Nowym Jorku, a tu taka niespodzianka. Moja aplikacja, o której już prawie zapomniałem, a którą złożyłem rok temu, jeszcze przed obroną dyplomu, została nagle rozparzona pozytywnie. Instytut Pasteura to naprawdę było coś. Poszedłem z listem do swojego szefa. Ten przyglądał się

pismu z uwagą, zerkając również ukradkiem na mnie. Wiedział już wcześniej, że dostałem zgodę na staż w Paryżu. Po chwili skonstatował z uśmiechem:

- Co ty się Victor od tych francuzików możesz nauczyć? Tu u nas, w Nowym Jorku, rozwija się prawdziwa nauka. Przecież jesteś genetykiem a tam to jakieś bakterie albo jeszcze co gorszego. Jeszcze jakie choróbko nam tu potem przywieziesz. No ale... jak koniecznie chcesz.
- Koniecznie nie muszę, przyszedłem się zapytać, co profesor o tym sądzi.
- Co ja sądzę?

Uśmiechnął się znowu.

- No wiesz młody, żebyś mi się tu potem nie mądrzył.
- Jak wrócę, przyjmiecie mnie z powrotem?
- W ogóle nikt nie zamierza cię zwalniać. Jedź, bierz ten grant i rób staż jako nasz pracownik. Oddelegujemy cię tam sami, jakżeś sobie załatwił, poczekamy. A tak już poważniej to gratuluję, że ci się udało. Trzeba być dobrym i mieć dużo szczęścia. Nie łatwo tam się dostać. Zawsze warto podpatrzeć co i jak robią inni, zwłaszcza jak się jest młodym jak ty. Wrócisz, to poopowiadasz. Sprawdzimy co cię francuziki nauczyli.

No i jestem. Trzy tygodnie temu wylądowałem na Orly. Francja, Paryż, Europa... nareszcie. Moja mama jest rodowitą Francuzką, chociaż ja urodziłem się w Stanach. Jak byłem mały, to ojciec zwracał się do mnie po angielsku a matka po francusku. Trochę miałem mętlik w głowie i rozwinąłem w dzieciństwie dziwny, własny dialekt, w którym wybierałem sobie łatwiejsze do

wypowiedzenia słowa z obu języków. Często rodzice komunikowali się ze sobą, żeby mnie zrozumieć a ja zacząłem mówić później niż moi rówieśnicy. Jednak efektem tego umiem teraz biegle posługiwać się obydwojoma językami, choć akcent mam amerykański. Pewnie po części dzięki temu, przyznano mi ten badawczy grant. Rozejrzałem się już trochę. Zdążyłem wynająć małe mieszkanie niedaleko instytutu Pasteura i odwiedzić dziadków, rodziców mojej mamy, którzy mieszkali około 200 kilometrów od stolicy. Jak byłem mały to przyjeżdżaliśmy do nich co roku, potem już trochę rzadziej. Zawsze za nimi tęskniłem. Przyjęli mnie serdecznie. Dziadkowie wiedzieli wcześniej, że przyjadę na dłużej kontynuować naukę w Paryżu i przygotowali dla mnie niespodziankę. Dostałem od nich starą, elektryczną renówkę. Mocno wyeksploatowaną, ale wciąż sprawną. Dziadek stwierdził:

- Bierz ją Victor. Już prawie nią nikt nie jeździ. Używamy wyłącznie dużego auta, które samo nas wozi. Renówka ma słabą baterię, ale po mieście, na krótkich dystansach da jeszcze radę. Najwyżej, jak będziesz wracał do Stanów, a będzie jeszcze sprawna, to przywieziesz ją z powrotem. Może dzięki temu czasem nas odwiedzisz.

Ucieszyłem się, choć w Paryżu pewnie poradziłbym sobie bez samochodu. Jak się wkrótce okazało, to właśnie jazda nim po Paryżu, a właściwie incydent z tą jazdą związany, rozpocznie szereg wydarzeń będących istotą tej historii. Historii, która będzie miała wpływ na moje przyszłe życie, choć ja jeszcze tego nie wiedziałem. Historii która wstrząśnie Francją.

Ale po kolei.

W instytucie przyjęto mnie bardzo serdecznie. Wszyscy dziwili się, że student z Ameryki tak biegle mówi po francusku. Przydzielono mnie do międzynarodowego zespołu badawczego, składającego się z kilkunastu studentów z Azji i Europy. Podzielono nas na czteroosobowe grupy. W mojej, oprócz mnie, byli jeszcze dwaj francuscy studenci, Roland i Tobias oraz chińska doktorantka o imieniu Lan. Choć mam 26 lat, to jestem najstarszym z całej czwórki i pozostali obwołali mnie, trochę żartem, dziekanem naszego zespołu. Zdążyliśmy zapoznać się z laboratoriami i ich wyposażeniem. Rozpoczęliśmy również swoje badania pod okiem doświadczonego profesora biotechnologii. Ponieważ z wykształcenia jestem genetykiem, to zgodnie z moimi oczekiwaniami, przydzielono mnie do zespołu zajmującego się poszukiwaniem kombinacji ludzkich genów, odpowiedzialnych za niektóre ze schorzeń. Inne zespoły próbowały na podstawie takich badań opracować ewentualne terapie. Szczepionki i leki to clou działalności tej historycznie zasłużonej, renomowanej placówki. Pod kątem naukowym zapowiadało się bardzo interesująco.

Po zajęciach nudziłem się trochę. Dopiero zaczynałem poznawać tu sąsiadów i współpracowników. Przyrzekłem sobie, że dam sobie spokój z angażowaniem się w nowe związki, przynajmniej przez kilka miesięcy. Z moją nowojorską dziewczyną zerwałem zupełnie. Wiedziałem, że Isabell wciąż próbuje kontaktować się ze mną, może nawet mnie kocha, jednak miałem jej już dosyć. W moim pojęciu to ona zniszczyła szczerą miłość, którą ją obdarzyłem, choć wiem, że większość ludzi obwiniałaby za to mnie. Przepraszała mnie potem, ale

udało jej się tak mnie zrazić do siebie, że przestało mi na niej zależeć. Moja miłość była szczera, ale nie była bezgraniczna, więc może nie była prawdziwa... czy ja wiem? Wszystko przez mój charakter a właściwie jedną jego cechę. Podłą i nieprzystającą do współczesnego świata. Otóż na pewnym etapie mojego życia zdałem sobie sprawę z tego, że jestem weredykiem*. Na początku oczywiście nie miałem pojęcia co oznacza to słowo i że w ogóle istnieje. Jednak gdzieś w gimnazjum dowiedziałem się o nim i zrozumiałem, że do mnie pasuje. Chodzi o to, że nie dość, że zawsze mówię prawdę, to obsesyjnie nie toleruję kłamstwa. Byłem gotowy wybaczyć Isabell każdą nielojalność, wybaczyłbym jej zdradę i nie przestałbym jej kochać, gdyby zdecydowała się mi szczerze o tym opowiedzieć albo nie opowiadać wcale, ale nie znoszę być okłamywany i sam nigdy nie kłamię. Taki już jestem.

W dzieciństwie ojciec okłamywał mamę. Wiedzieliśmy o tym oboje i ja i ona. Byłem bystrym dzieciakiem, wczesnie ogarniałem rzeczywistość i tak mi zostało. Uważam, że byłem w porządku, tłumaczyłem to Isabell wielokrotnie i bardzo prosiłem ją o szczerść, jeśli już zdecyduje mi się coś powiedzieć. Nie jestem despotą i nie wymagałem od niej wiele. Nie wypytywałem jej o nic i nie byłem zazdrosny. Wiedziała o mojej obsesji, ale nie brała tego na poważnie. W końcu poszło o drobiazgi, które dla mnie były ważne. Gdybym chciał, to z łatwością znalazłbym tu sobie nową dziewczynę. Jedna ze studentek innego zespołu wyraźnie mnie adoruje, a i paryżanki też są bardzo atrakcyjne,

.....

Weredyk* - osoba mówiąca prawdę, bez względu na konsekwencje.

zwłaszcza te trochę rasowo pomieszane, bardzo mnie pociągają. Nigdy nie miałem problemów z nawiązywaniem nowych znajomości. Nieskromnie powiem, że dziewczyny lecą na mnie i miałem ich już kilka, ale teraz postanowiłem od nich trochę odpocząć. Pewnie to i lepiej również dla nich. Zacząłem szczerze wątpić czy poznam kiedyś kogoś, kto będzie w stanie tolerować mnie takim, jakim jestem przez całe życie. W mojej wyobraźni rodziła się wizja przedstawienia na jakimś forum randkowym swoistego ogłoszenia -"poznam weredyczkę". Wątpiłem, żeby ktoś się zgłosił. Zupełnie poważnie myślałem, że jestem sam na świecie z moją obsesją.

Popołudniami intensywnie zwiedzałem Paryż. Przeważnie metrem, ale również jeżdżąc swoją starą renówką. Byłem pełen wrażeń związanych z nową pracą i nowymi ludźmi, z którymi przyszło mi ją wykonywać oraz pięknem zabytkowego miasta.

Dla swoistej równowagi emocjonalnej, aby dobre emocje balansować ze złymi... włączałem telewizor. Telewizja to dla mnie temat szczególny i ważny. Oglądanie telewizji celebrowałem w sposób specjalny. Wyobrażałem sobie siebie, jako uczestnika podstępnie przemyconej dla mnie satanistycznej mszy. Tak sprytnie, że normalny telewidz tego nie zauważa. Mój charakter sprawiał, że ja to widziałem.

Wieczorem znudzony brałem do ręki puszkę piwa i z obrzydzeniem sięgałem po pilot. Czynność tą, mój przepełniony wrazeniami umysł, zakwalifikował jako swoistą, obowiązkową pokutę, od której nie mogę się wymigać. Moja pozytywna energia związana z nowym środowiskiem, aby nie wprowadzać mnie w stan euforii emocjonalnej, musi być tonowana dawką codziennej,

medialnej trucizny. Z przykrością stwierdzałem, że czy to Stany czy Europa, to wszędzie jest tak samo. Cokolwiek by się kliknęło, to wszędzie są reklamy. Kłamstwo i manipulacja wylewało się z ekranu przeszkadzając skupić się na jakiegokolwiek treści audycji czy przekazie informacji. A nawet jeśli już udało mi się dotrzeć do informacji, które przekazywał mi odbiornik, to były one ciągle filtrowane. Musiały być złe i budzić mój niepokój, bo tylko takie dawały gwarancję na to, że przetrzymam jeszcze kilka minut po to, aby wysłuchać kolejnych reklam. Ci co tym zarządzają wiedzą, że ludzie w swoim ogóle tak naprawdę interesują się wyłącznie nieszczęściem innych ludzi. Całą resztą jest ich trudno zainteresować. Od małego, jak tylko mój dziecięcy umysł ogarnął, że treścią wszechobecnych reklam jest manipulacja, zmierzająca wyłącznie do osiągnięcia zysku, szczerze je znienawidziłem. Zrozumiałem, że dla pieniędzy, ci co emitują i ci co zamawiają emisje, są gotowi posunąć się do każdego obrzydlistwa. Łżą w „żywe oczy” i nikomu to nie przeszkadza. Wciąż nie rozumiem, dlaczego społeczeństwa się masowo przed tym nie buntują, pomimo, że proceder ten uwłacza ludzkiej godności. Potem zrozumiałem również, że cały przekaz medialny, podawany przez telewizję, służy wyłącznie temu abym słuchał reklam. Nie ma znaczenia czy są to wiadomości, film, dokument, edukacja czy telewizyjny show. Czym bardziej ciekawa audycja, tym podstęp bardziej chytry i skuteczniejszy.

Odbiornik kojarzył mi się z niesprawną, przepelnioną toaletą a pilot ze spłuczka, której po każdym naciśnięciu otwiera się kłapa i wylewają się reklamy, mające wygląd i zapach ekskrementów. Zresztą ten odbiornik w moim wynajętym mieszkaniu wydawał mi się jakoś szczególnie

podejrzany, a po wypiciu drugiego piwa nawet groźny. Łypał na mnie podstępnie swoim jedynym, 65-calowym prostokątnym okiem, tak jakby chciał mi przekazać nieuchronną, groźną przepowiednię:

- „To ja będę rządził twoim mózgiem”.

Usiadłem zmęczony, po dniu pełnym emocji i wrażeń z puszką piwa w ręce naprzeciw tej bestii i nacisnąłem magiczny przycisk na pilocie, który natychmiast przeniósł mnie do krainy kłamstwa i obłudy. Blok reklamowy był tak długi, że zdarzyłem spokojnie opróżnić puszkę. Nawet nie próbowałem zmieniać kanałów. Od dzieciństwa znałem już tę prostą sztuczkę. Od reklam nie wolno mi uciec, na wszystkich dwustu kanałach są w tym samym czasie. Chociaż o niczym nie myślałem, to odbierałem podprogowo, że moje gacie będą białe jak śnieg, że suplement wydłuży mi członek, że golarka najlepiej na świecie ogoli mi jaja, że chłanie taniego piwa to oddanie szacunku swojej ojczyźnie. Potem już wszystko to zlało się w jednostajny bełkot pozbawiony treści. Moje oczy robiły się coraz bardziej senne, a pusta puszka wypadła mi z ręki na podłogę.

Giselle I. Ta historia jest o niej. Opowieść Victora.

Był wyjątkowo ładny, ciepły dzień. Po zajęciach w instytucie postanowiłem od razu nie wracać do mieszkania, ale pojechać do bazyliki Sacre-Coeur. Wiedziałem, że ten wspaniały kościół położony jest na wzgórzu, z którego rozciąga się szeroka panorama

Paryża i okolic. Nigdy wcześniej tam nie byłem. Wsiadłem do auta i jechałem w stronę zaplanowanego miejsca. Aby całkowicie oddać się pogodnemu nastrojowi pogodnego dnia, to prowadząc, szukałem w radiu relaksującej muzyki. Przejeżdżałem obok jakiegoś parku i zamiast skupić się na drodze, to przekierowałem uwagę na szukanie odpowiedniej stacji. I wtedy doszło do nieszczęścia. Spomiędzy drzew, które odgródzone były od jezdni tylko wąskim chodnikiem, wypadła tenisowa piłka, a zaraz za nią wybiegł rozbawiony, duży pies. Choć wbiegł na jezdnię nie dalej niż pół metra, to mój samochód akurat znalazł się przy samym krawężniku. Zjechałem trochę z właściwego toru jazdy, wpatrzony w radio zamiast w jezdnię. Jak zorientowałem się co się dzieje, to było już za późno. Wcisnąłem gwałtownie hamulec i wykonałem manewr, ale pomimo to uderzyłem zwierzaka, zanim się zatrzymałem. Wyszedłem przerażony z samochodu. Pies podniósł się i skomlał żałośnie, ale nie był w stanie normalnie biegać. Był to czarny labrador. Miał na sobie szelki, jakie nosi pies przewodnik. Po kilku krokach znowu się przewrócił. Najpierw usłyszałem kobiecy krzyk a potem dziewczynę, która wybiegła z parkowej alejki wprost na jezdnię, potykając się przy tym na krawężniku. Uklękła obok psa, przytuliła go do siebie i zalała się łzami, głośno szlochając. Wymawiała przy tym jego imię:

- Fufou, Fufou!

Psu z pyska leciała krew, plamiąc jej ręce i jasną sukienkę. Ukląknęłam obok niej i pełen współczucia zacząłem ją przeproszać. Mówiłem szczerze, że się

zagapiłem. Jak pozbierałem myśli, to zaproponowałem:

- Zawiozę cię z psem do weterynarza. Siadaj do auta a ja położę ci go na kolana.
- Musisz mi pomóc, jestem niewidoma.

Odpowiedziała już trochę spokojniej. Byłem tym bardzo zaskoczony. Wygląd jej twarzy w ogóle na to nie wskazywał. I jej oczy. Pomimo emocji, od razu zwróciłem na nie uwagę. Wyglądały na całkiem zdrowe, ale były inne od wszystkich, jakie w życiu widziałem. Były fioletowe. W pierwszej chwili myślałem, że to jakaś sztuczka ze szklami kontaktowymi. Jednak wyglądały bardzo naturalnie i dodawały swoistej tajemniczości i demoniczności pięknej twarzy dziewczyny. Usadawiłem ją na tylnym siedzeniu i ułożyłem na nim delikatnie rannego psa, tak żeby jego głowa leżała na jej kolanach. Następnie wpisałem w telefonie zapytanie o najbliższy gabinet weterynaryjny. Podałem adres do samochodowej nawigacji i z piskiem opon pojechałem do przychodni. Po 10 minutach byliśmy na miejscu. Dziewczyna już nic nie mówiła, tylko pochyliła się nad zwierzakiem. Chciałem jej pomóc, ale ona chciała nieść go sama. Poprowadziłem ją do gabinetu, trzymając za ramie. Natychmiast przybiegł lekarz i towarzysząca mu asystentka. Zdjęto z niego szelki i szybko przeprowadzono badania.

- Muszę zrobić mu tomograf. To nie wygląda dobrze.

Powiedział lekarz i przeniesiono zwierzę z leżanki na wózek. Następnie odjechano z nim do innego pomieszczenia. Po 15 minutach weterynarz przyszedł

z ponurą miną:

- Niestety mam złe wieści. Foufou ma stłuczoną wątrobę, która krwawi i uszkodzony kręgosłup. Ma również wiele innych obrażeń. Nie da się tego wyleczyć. Pies tego nie przeżyje. Dziewczyna zdrętwiała z przerażenia. Znowu zalała się łzami. Wyjąkała, płacząc:

- Niech go pan ratuje, proszę.
- Nic nie mogę zrobić
- Nie da się go zoperować?
- Niestety nie. Trudno mi to mówić, ale najlepiej dla niego, będzie go uśpić. Zwierzę bardzo cierpi i umrze w ciągu kilku godzin.
- Nie! Nie!

Krzyknęła.

- Doktorze proszę dać mu szansę, chociaż do jutra, błagam pana.
- Jeśli chcesz, to niech zostanie tutaj. Podam mu środki znieczulające, ale zwierzę i tak zdechnie do jutra.
- Jest pan tego pewny?
- Tak, Niestety, jestem pewny.
- Chciałabym się z nim pożegnać. Był moimi oczami.
- Zaraz go przywiozę.

Patrzyłem na to wszystko przerażony. Czułem się winnym całej tej sytuacji. Bardzo było mi żal dziewczyny. Zdawałem sobie sprawę, co jej zrobiłem. Zwróciłem również uwagę na jej nieprzeciętną urodę. Dopiero po czasie doświadczyłem, że Giselle była wyjątkowa. I to nie tylko z racji swoich oczu o fioletowej

barwie tęczy, ale pod wieloma innymi względami również. Dziewczyna objęła psa obydwojema rękami i właściwie położyła się na nim, na lekarskiej leżance. Przycisnęła go swoim ciałem i zastygła w bezruchu z zamkniętymi oczami. Ja oraz lekarz i asystentka, przyglądaliśmy się tej scenie ze współczuciem, ale również zdziwieniem. Sekundy mijały a ona ciągle nie zmieniała swojej pozycji. Obserwowaliśmy to swoiste pożegnanie w milczeniu, w szacunku dla jej żalu i rozpacz, jednak sytuacja w żadnym razie do normalnych nie należała. Myślałem, że jest to objaw psychicznego szoku, jakiego doznała. Byłem przekonany, że pozostali myślą tak samo. Po jakiś trzech minutach weterynarz zapytał:

- Może już wystarczy?
- Jeszcze chwilę, odpowiedziała dziwnie spokojnie i rzeczowo.

Lekarz chciał delikatnie odciągnąć ją od zwierzaka, ale ona stanowczo zaprotestowała:

- Zostaw mnie, powiedziałam jeszcze chwilę. Zaraz skończę.

Jeszcze mocniej wywołując tym nasze zdziwienie. Dopiero po około pięciu minutach puściła zwierzę. Pies wyglądał jakby zasnął, choć myśleliśmy, że stracił już przytomność. Dziewczyna powiedziała nie otwierając oczu:

- Foufou to przeżyje.

Lekarz pokręcił głową:

- Mówiłem już, że to niemożliwe.
- Przeżyje, proszę podać mu środek przeciwbólowy.
Jutro do niego przyjdę
- Dobrze, zostawimy go do jutra i zobaczymy.

Odpowiedział, chcąc ją uspokoić i zakończyć niezręczną sytuację.

- Proszę przyjść jutro.

Wyszedłem z nią z gabinetu. Jej sukienka była cała zakrwawiona.

- Jeszcze raz cię przepraszam, bardzo mi przykro.
- Przecież nie zrobiłeś tego specjalnie. Nie gniewam się na ciebie.
- Przebaczysz mi?
- Oczywiście, nie martw się. On to przeżyje.
- Obawiam się, że raczej nie.
- Zobaczymy.
- Mogę zawieźć cię do domu? Jesteś cała zakrwawiona.
- Byłabym ci bardzo wdzięczna. Nie bardzo wiem, gdzie jesteście. Nie chodzę tu sama. Jak masz na imię?
- Victor.

Odpowiedziałem.

- A ty?
- Giselle. Masz dziwny akcent, jesteś Francuzem?
- Nie, jestem Amerykaninem, przyjechałem do Paryża na studia.

Zadzwoił telefon Giselle. Aparat zamiast dzwonka podawał nazwę kontaktu. Usłyszałem imię: Jutith. Przyłożyła aparat do ucha. Był dosyć głośny, słyszałem rozmowę.

- Gdzie jesteś?
- U weterynarza, Foufou wpadł pod auto.

Usłyszałem, że rozmówczyni na chwilę zamilkła.

- Giselle, jadę po ciebie.
- Nie potrzeba. Jest ze mną facet. Ma na imię Victor. Powiedział, że mnie odwiezie. To on potracił Foufou. Zaraz będę w domu.
- Czekam na ciebie. Jestem już w twoim mieszkaniu.

Rozłączyła połączenie.

- Twoja siostra?

Zapytałem.

- Nie, Judith jest moją opiekunką.

Po kilkunastu minutach jazdy byłem z nią pod jej domem. Zaproponowałem, że zaprowadzę ją do mieszkania, ale powiedziała, że nie ma takiej potrzeby. Tutaj zna wszystko i sama sobie poradzi. Gdy już wychodziła z auta, powiedziałem:

- Giselle, poczekaj. Chcę jutro zawieźć cię do tego weterynarza. Czuję się winny tego co się stało i chcę zapłacić koszty leczenia. No i jeszcze raz cię

przepraszam.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Jeśli rzeczywiście chcesz zapłacić, to się zgadzam. Nie mam zbyt wielu pieniędzy.
- Jutro o 10 rano będę na ciebie czekał w tym miejscu. Dam ci swój numer telefonu. Jak już będę, to zadzwonię.
- Dobrze, zadzwoń do mnie teraz. Judith zapisze mi zaraz kontakt w telefonie.

Podawała mi numer. Zadzwoniłem od razu i usłyszałem, że jej telefon powiedział na głos:

- „Nieznany numer”.

Wracałem do swojego mieszkania i nie umiałem przestać o niej myśleć. Giselle zawładnęła moją duszą. Bardzo chciałem poznać ją bliżej. Jej ułomność w ogóle mnie nie zniechęciła. No i te... oczy.

Nazajutrz.

Wszedłem z nią do gabinetu. Byłem pewny złych informacji. Nie wiedziałem jaka będzie jej reakcja na wieść o tym, że Foufou nie żyje. Weterynarz już na nas czekał. Nie miał strapionej miny, był raczej zakłopotany. Od razu zwrócił się go Giselle:

- Chciałbym cię przeprosić. Pomyliłem się.
- Przeżył?

Zapytała radośnie.

- Tak, choć nie mam pojęcia jakim cudem. Pierwszy raz spotkałem się z czymś takim, żeby pies przeżył taki uraz. Foufou to twardy wojownik. Wątroba przestała krwawić. Prześwietliłem go znowu dziś rano.

- Wyjdzie z tego?

- Nie wiem, ale wyniki badań są lepsze niż wczoraj. Możliwe, że z tego wyjdzie. To byłby prawdziwy cud.

- Mogę go zobaczyć?

- Zaraz go przywiozę. Będzie osowiały, podałem mu dużą dawkę środków przeciwbólowych.

Po chwili przywiózł psa na wózku. Foufou leżał spokojnie z wyciągniętym językiem. Na widok Giselle próbował się podnieść, ale był bardzo słaby. Weterynarz powstrzymał go przed próbą zejścia z wózka. Dziewczyna czule go głaskała po łbie.

- Wiedziałam, że mnie nie zostawisz.

Zwróciła się do doktora.

- I co z nim teraz?

- Musi zostać u mnie przez tydzień. Możliwe, że potem będziesz mogła go doleźć w domu. Zobaczymy.

Chciałem zapłacić za leczenie, ale powiedział, że rozliczymy się jak pies wyzdrowieje. Taka deklaracja wcale mnie nie zmartwiła. Dawała mi szansę na kolejne spotkanie lub spotkania z Giselle. Czułem, że bardzo ich pragnę. Odwiozłem ją znowu pod dom. Zanim wysiadła to zaproponowałem:

- Jeśli chcesz, to mogę wozić cię codziennie do Foufou.

Widziałem zdziwienie na jej twarzy.

- Naprawdę chcesz mnie tam wozić?

- Tak, czuję się winny tej całej sytuacji. Chciałbym jakoś to naprawić.

- Jeśli rzeczywiście chcesz, to możemy umówić się na środę. Nie ma potrzeby jeździć tam codziennie.

- O której przyjechać?

- Mnie jest wszystko jedno, tak żeby tobie pasowało.

- O 16, po zajęciach, nie będzie za późno?

- Nie, będzie dobrze. Victor jesteś studentem? Ile masz lat?

- Jestem doktorantem w instytucie Pasteura. Mam 26 lat.

- To do środy?

- Tak, do widzenia.

Środa, dwa dni później.

Foufou, przyszedł już do Giselle na własnych łapach. Widać było, że jest jeszcze osłabiony, ale radośnie merdał ogonem. Ona głaskała go czule. Widziałem jak się cieszyła. Weterynarz powiedział, że pies dobrze znosi leczenie i teraz jest już pewny, że wyzdrowieje. Umówiłem się z Giselle, że w piątek razem go odbierzemy.

Piątek.

Giselle założyła psu jego przewodniczkę szelki, a ten

z dumnie podniesionym łbem prowadził ją do samochodu. Uregulowałem rachunek u weterynarza. Tanio nie było. To był cały mój miesięczny budżet. Jednak nie żałowałem ani jednego euro. Giselle słyszała ile zapłaciłem. Widziałem przerażenie na jej twarzy. Zanim wysiadła z samochodu, powiedziała:

- Bardzo ci dziękuję. Jesteś dobrym człowiekiem, czuję to.
- Nie gniewasz się na mnie, za to co zrobiłem?
- Nigdy się nie gniewałam, jeszcze raz ci dziękuję.
- Może jednak odprowadzę cię do mieszkania?

Zaproponowałem pełen obaw. Chciałem kontynuować tę znajomość, a nie bardzo wiedziałem, co mam jej powiedzieć. Nie chciałem, żeby robiła cokolwiek z wdzięczności.

- Chciałbyś do mnie wejść?

Zapytała niepewnie.

- Zaprosisz mnie?
- Mieszkam bardzo skromnie, rozczarujesz się.
- Rozczaruję? Co ty mówisz?
- Jeśli rzeczywiście chcesz? To chodźmy. Nie boję się ciebie. Jesteś szczerzy.

Wszedłem niepewnie do mieszkania. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to niewielka ilość sprzętów i rzeczy oraz idealny wręcz porządek.

- Jak tu schludnie.

Stwierdziłem odruchowo. Ona od razu zrozumiała co mam na myśli.

- Victor, tu musi tak być. Pamiętaj, że jestem niewidoma. Wszystko mam w pamięci. Wszystko musi być na swoim miejscu, inaczej tego nie ogarnę. Chcesz kawę albo herbatę?

- Kawę, chętnie.

- Siadaj na kanapie przy niskim stole. Zaraz ci zrobię.

Nie posłuchałem jej, tylko najciszej jak umiałem poszedłem za nią do kuchni. Wszystko było tam poukładane. Na blacie leżały słoiki. Giselle wprawnie sięgała po to, co chciała. Przyglądałem się temu z progu w milczeniu, starając się nie zdradzić. Nawet oddychać próbowałem jak najciszej. Gdy już zrobiła kawę, zapytała spokojnie:

- Naprawdę myślisz, że nie wiem, że przyglądasz mi się tutaj cały czas?

Roześmiałem się

- Skąd wiedziałaś?

- Jakbyś był niewidomy, to byś wiedział.

Rozmawialiśmy przez chwilę siedząc naprzeciwko siebie. Spokojnie piłem swoją kawę. Byłem oczarowany jej ciepłym, spokojnym głosem i logiką tego co mówi. Pytała mnie co robię w Paryżu. Powiedziałem jej o pracy w instytucie, o zespole z którym pracuję i o dziadkach mieszkających na stałe we Francji. W końcu zacząłem zbierać się do wyjścia:

- Giselle, mogę jeszcze kiedyś przyjść do ciebie?
- Po co?

Zapytała zalotnie, uśmiechając się przy tym.

- No tak, fajnie mi z tobą porozmawiać.

Widziałem, że nagle spoważniała a potem nagle zapytała:

- Victor masz żonę albo dziewczynę?

Skupiona czekała na moją odpowiedź.

- Miałem dziewczyny. Z jedną byłem dłużej, ale teraz jestem sam.
- Zostawiłeś ją?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć, ale zdecydowałem, że bez względu na wszystko będę trzymał się swoich zasad. Nie będę jej okłamywał. Sam też nie lubię być okłamywany.

- Tak.

Odpowiedziałem.

- Dlaczego?
- Okłamywała mnie.
- Cenisz sobie szczerłość?
- Bardzo. Wiesz, ja nigdy nie kłamię.
- Jesteś weredykiem?

Zapytała. Tym naprawdę mnie zaskoczyła. Nie wierzyłem własnym uszom. Skąd przyszło jej to do głowy i skąd w ogóle wiedziała, co znaczy to słowo.

- Wiesz co to znaczy weredyk?
- Wiem.
- Skąd to wiesz?
- Wiem i tyle.
- Wierzysz w to co mówię? Skąd wiesz, że cię nie okłamuję?

Zapytałem.

- Coś ci powiem o sobie, jeśli o to zapytałeś. Może dobrze, żebyś o tym wiedział.
- O czym?

Odpowiedziałem z ciekawością.

- Mnie nie da się okłamać.
- Dlaczego? Jak to?
- Wiem, kiedy ktoś kłamie.
- Co takiego? W jaki sposób?
- Wiem i tyle. Nie wiem dlaczego. Mam tak od zawsze, od urodzenia.
- Nigdy się nie mylisz?
- Nigdy. Żeby to wiedzieć, muszę słyszeć głos rozmówcy. Nie potrafię rozpoznać fałszu, jeśli jest to gdzieś napisane, ale jeśli słyszę głos, który świadomie kłamie, to wiem to na pewno.

Zbliżyła się do mnie w milczeniu.

- Mogę „zobaczyć” jak wyglądasz?
- Nie wiem co chcesz zrobić, ale możesz.

Dotknęła swoimi dłońmi mojej twarzy i delikatnie całą ją obmacała końcami palców.

- Mogę zrobić to samo?

Zapytałem z uśmiechem.

- Tylko spróbuj, łotrze! To oberwiesz!

Roześmiała się.

- I co ci wyszło? Jaki jestem?

Zapytałem z ciekawością.

- Normalny.

Odpowiedziała z chytrym uśmiechem.

- Normalny?

Jęknąłem rozczarowany. Myślałem, że powiesz, że jestem przystojny.

- I... czy ja wiem?

Odpowiedziała.

- Wiesz co, ty już lepiej sobie idź, bo jeszcze się w tobie zakocham.

Żartowała.

- Mogę przyjść jeszcze?
- Jeśli chcesz? Chcesz mieć niewidomą dziewczynę?
- A jeśli tak?
- Podrywasz mnie?
- Teraz ty mi powiedz. Jesteś z kimś związana?
- Z facetem?
- Tak.
- Victor to przecież ja jestem ślepa a nie ty. Kto chciałby się wiązać z niewidomą dziewczyną? Zawsze byłam sama. Jakoś sobie z tym radzę.
- Zawsze byłaś sama?
- Tak, ale nic ci więcej o tym nie powiem.
- Chodzisz do tego parku w jakiś stałych godzinach?
- Raczej nie stałych. Po południu, jak pójdzie Judith. Wtedy, kiedy mam ochotę, jak jest pogoda.
- Pójdziemy jutro razem?
- O której chcesz przyjść?
- O 16, po zajęciach w instytucie.
- Zadzwoń, zejdę sama. To znaczy z Foufou.

Fabryka snów. I

**Duże miasto w USA. Markowa firma kosmetyczna.
Gabinet dyrektora naczelnego.**

- Cooper, opowiedz mi wszystko o tym nowym produkcie. Czy to na pewno dobry pomysł? Nie wtopimy na tym?
- Jason, nie ma mowy. Wszystko dobrze przemyślałem.

To będzie rynkowy przebój. Nasz hit. Widziałeś opakowanie?

- Nie jeszcze, masz tu próbkę?
- Tak, zobacz.
- O... złote literki, ładny słoik i pudełko. Co to właściwie jest? Ta nazwa... dobry Boże i wieloryb?

Jason uważnie przyglądał się słoikowi i butelce.

- Serum do ciała.
- Znowu serum?
- Tak, tak, serum jest ok.
- Nie może być krem albo żel?
- Nie, nie, serum. Serum to kosmetyk, który nie ma pielęgnować, on ma leczyć.
- Leczyć? Co będzie leczyć?
- Skórę bogatych mamusiek. Dedykowany jest dla kobiet 50+.
- Jaką dolegliwość będzie leczyć?
- Jason, no pomyśl, co będzie leczyć nasze serum. Będzie leczyć starość.
- Co?

Jason uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Cooper, daj spokój. Jesteśmy firmą kosmetyczną a nie farmaceutyczną, a na starość nie ma lekarstwa.
- Stary, zaufaj mi, jestem dostatecznie długo w tej branży.

Jason jest dyrektorem naczelnym, znanej na całym świecie firmy kosmetycznej a Copper jest dyrektorem technicznym, głównym specjalistą od spraw produkcji.

Omawiają nowy produkt, który za kilka tygodni zamierzają wprowadzić na francuski rynek. Są przyjaciółmi od wielu lat.

- Serum kojarzy mi się z twarzą, a to jest do ciała?
- Tak jest lepiej.
- Lepiej? dlaczego?
- Jason, żeby posmarować twarz, baby biorą to na opuszek palca. Spróbuj w ten sposób posmarować całe ciało.
- No tak, to ma sens, trzeba tego więcej.
- Prawda, jakie proste.
- Co w tym będzie?
- To prawie wyłącznie rozcieńczony kwas hialuronowy.
- Już to słyszałem, dlaczego to?
- Mamy to w skórze, a z wiekiem jest tego coraz mniej.
- Młoda skóra - dużo kwasu, stara skóra - mało kwasu?
- Dokładnie, prościej nie mogłeś tego ująć. Baby to wiedzą i wierzą, że jak się tym kwasem posmarują, to ich skóra będzie się wolniej starzeć.
- A jest tak?

Cooper się uśmiechnął.

- Stary, w skórze to nie znaczy na skórze. Ale jak chcą w to wierzyć. Wiesz, niektórym pewnie coś pomaga. Różnie się starzejemy. To geny, aktywność fizyczna, zdrowy sposób odżywiania. Starzenie to replikacja błędów DNA, w kolejnych pokoleniach komórek naszego ciała. Na to nie ma lekarstwa. A nasze serum? Kto wie? Może jednej na kilka coś pomoże. Czy to ważne? Skąd miałbym to wiedzieć? Jestem biotechnologiem a nie lekarzem. Kogo to zresztą

interesuje, nawet jakby nic nie pomagało to mamuśki w to wierzą i nie dałyby sobie wmówić, że jest inaczej.

- Nasze serum będzie się różnić od innych? Od konkurencji?
- Chodzi ci o skład?
- Tak.
- Nie, no po co? Kwas hialuronowy to kwas hialuronowy, wszyscy to mają.
- Drogie to jest? Z czego to robisz?
- E tam, drogie. Jakby było drogie, to byśmy nic nie zarobili. A my chcemy zarobić... prawda?
- Teraz naprawdę cię rozumiem.

Jason szeroko się uśmiechnął.

- Robię to w reaktorze chemicznym z pszenicy.
- Z pszenicy, jak bimber?
- Hehehe, no aż takie proste to nie jest. Zaciera się pszenicę specjalną bakterią... sfermentuje i gotowe.
- Bakterią?
- Tak, nazywa się *Streptococcus equi*.
- Co to jest?
- Hmm, jakby ci to stary wyjaśnić. Jason, ty kochasz konie i dużo o nich wiesz.
- Wiesz, że tak jest.
- Słyszałeś o takiej końskiej chorobie, która nazywa się zouza?
- Oczywiście, to ciężka choroba dróg oddechowych.
- Dokładnie, to właśnie nasza bakteria *Streptococcus equi* ją powoduje. Powoduje ropienie węzłów chłonnych zarażonych koni. Fajna rzecz.
- Z tego robią kwas hialuronowy?

Cooper znowu się uśmiechnął.

- Stary, my przynajmniej dajemy im to do smarowania, ale niektórzy wstrzykują im to pod skórę.
- Matko. Po co one to robią? Słuchaj, co to za nazwa - Spermen?
- Nasz szef marketingu ją wymyślił. Ma kojarzyć się ze spermacetem. No... nie tylko z tym. Ma się mamuśkom dobrze kojarzyć.
- Spermacet?
- Tak, to wydzielina wieloryba. Ze spermą nie ma nic wspólnego, no ale... ładnie się kojarzy.
- Co to jest?
- To taki tłusty syf. Wieloryb ma to w głowie. Nie wiadomo dokładnie po co mu to. Dorosły kaszalot ma tego dwie tony. Kiedyś wielorybnicy smarowali tym liny. W XIX wieku, zanim rozpowszechniono produkcję ropopochodnych, to stosowano to jako smar maszynowy.
- Dodajesz to do serum?
- Tak, 50 gramów na reaktor.
- Po co? Jak działa?
- E nie, w ogóle nie działa. To smar, nie ma żadnego znaczenia. To tylko haczyk reklamowy. Tak jak kolor.
- Kolor?
- Tak, normalnie wyszedłby przezroczysty żel, ale kazałem go chemicznie zabarwić na białe.
- Po co?
- No Spermen w końcu.

Cooper nie przestawał się uśmiechać.

- Jason, przecież obrońcy przyrody zaraz podniosą larum, a jeszcze w Europie tym bardziej.

- Dokładnie o to chodzi, to pomysł naszego marketingowca. Chodzi o to, żeby o naszym produkcie było głośno. Żeby o nim gadali. Mamuśki są tak głupie, że jak usłyszą że to zakazane, to pomyślą że musi być dobre. Lepsze od innych. Powiem ci coś w tajemnicy. Reklamę produktu zleciliśmy znanej firmie reklamowej. Nazywa się „Fabryka snów”. Oni tam znaleźli jakąś podstarzałą aktorkę, która będzie twarzą naszego serum. Kręcą z nią dwa spoty i robią jej zdjęcia. Stara jest, ma 53 lata, ale kiedyś musiała być fajną laską. Widziałem pierwsze zdjęcia.

Jason zbliżył się do Coopera i szeptał mu do ucha:

- Nasz marketingowiec wymyślił, że jak już spoty pójda i nasza miss stanie się celebrytką, to podplaci jakiś fanatycznych obrońców zwierząt, żeby oblali ją czerwoną farbą na ulicy. Filmik pójdzie w TV a nasza sprzedaż wystrzeli jak rakietka. Ale o tym nikomu ani słowa.

- Słuchaj, 50 gramów na reaktor?

- Tak, produkuję to w reaktorze chemicznym. Na jedną partię idzie tysiąc funtów* 3% roztworu kwasu.

- Jaka jest cena wsadu?

- 400 dolarów plus robocizna i słoiki.

- Ile słoików z partii?

- 4 tysiące słoików z reaktora. Słoiki są 125 gramowe. Czyli za słoik 10 centów.

- Po ile będziemy sprzedawać?

- Na początku, w Europie, po 35 euro za słoik, a potem

.....

Funt* - jednostka masy używana w krajach anglosaskich. 1 funt = 0,45 kg.

się zobaczy.

- Pójdą po tyle?

Jason się uśmiechnął.

- Pewnie że pójdą. W końcu Spermien, z wieloryba!

- A reklama?

- Ech stary, tu są prawdziwe koszty. Fabryka snów weźmie ponad milion dolarów. Spoty pójdą przez dwa miesiące we wszystkich francuskich, ogólnokrajowych kanałach telewizyjnych. Reklama pójdzie też w internecie. Tym zajmie się ich paryski oddział. Po kampanii francuskiej pójdą u nas, w Ameryce.

- Trudno, jeśli są najlepsi, to trzeba im zapłacić.

- Też tak myślę.

Fabryka snów II.

Duże miasto w USA. Sarah.

- Mamo przestań.

- Przepraszam.

- Nie chcę żebyś płakała.

- To tak samo, przepraszam. Tak tylko. Postaram się nad tym panować.

- On się nie odzywał?

- Nie

- Jakoś się ułoży, nie martw się.

- Wiem przecież. Zjedz coś, zanim pojedziesz na uczelnię. Ty też nie martw się tym wszystkim. Za dwa miesiące się bronisz, musisz mieć spokojną głowę, żeby się uczyć.

- Dam sobie radę, nie martw się o mnie.

- Grace, kocham cię.
- Ja ciebie też, przecież wiesz. Nie płacz już, on nie jest tego warty. Ułoży się jakoś.

Grace wyszła z domu i zostawiła matkę samą. Sarah natychmiast znowu się rozplakała. Jej życie dwa miesiące temu diametralnie się zmieniło. Do tej pory nie potrafiła pojąć jak to mogło się wydarzyć. Jak on mógł jej to zrobić. Eliot, jej mąż, dwa miesiące temu wyprowadził się z domu. Zostawił ją samą z dorosłą już córką, po ponad dwudziestu latach małżeństwa. Pamiętała przecież dokładnie ten dzień, w którym się poznali. To był plan filmowy. On był już znanym aktorem, a ona miała za sobą kilka drugoplanowych ról. To był najszczęśliwszy okres w jej życiu. Mężczyźni za nią szaleli. Czuli się wtedy naprawdę piękna. Mogła mieć każdego. Zostawił dla niej żonę i dziecko. To była szalona miłość. Dużo grał, dobrze zarabiał, zapewnił jej dostatnie życie. Kupił dom. Pamiętała, jak trochę żartem powiedziała mu wtedy:

- Eliot, kochanie, ale chciałabym, żeby ten dom był wyłącznie moją własnością. Znani aktorzy często zostawiają swoje żony dla młodszych, a ja chciałabym też coś w życiu mieć.

Nie miała pojęcia, że to przepowiednia, która spełni się po dwudziestu latach. On wtedy za nią szalał. Szczerze ją kochał i bez wahania zgodził się na to. Wziął kredyt i spłacał go przez całe ich wspólne życie. Hipoteka była tylko na nią. Za dwa lata dom będzie jej własnością. A teraz, z tym wszystkim ją zostawił. Nie wiedziała co ma z sobą zrobić. Od czasu wyjścia za mąż przestała grać.

Zajmowała się życiem towarzyskim i wychowaniem córki. Zatrudniali kucharkę i sprzątaczkę. Stołowali się w drogich restauracjach i mieli bardzo wielu przyjaciół, z którymi często się spotykali. Żyła tak, jak to sobie wymarzyła, czarując towarzystwo swoją elokwencją, ale przede wszystkim swoim zjawiskowym wyglądem. Błyszczała blaskiem gwiazdki, choć trochę w cieniu swojego, również bardzo przystojnego i sławnego męża. Jednak ich uczucie z czasem mizerniało. On ciągle był poza domem, a ona zostawała sama na wiele tygodni. Czas mijał a Eliot ją zaniedbywał. Wciąż czuła się atrakcyjna, jednak jej młodość przeminęła i bardzo ją to przygnębiało. No a teraz jeszcze to nieszczęście. Wszystko przez ten głupi przypadek. Po co to zgłaszała?

Nagle z rozmyślań nad swoim trudnym położeniem wyrwał ją dźwięk telefonu. Dzwoniła Juna. Jej najlepsza przyjaciółka. Była aktorka, tak jak ona.

- Cześć Juna.
- Słuchaj Sarah, musimy pogadać, Chyba mam coś dla ciebie.
- Co?
- Nie chcę gadać przez telefon. Spotkajmy się tam gdzie zawsze za godzinę. Możesz przyjść? Chcę ci jakoś pomóc.
- Dobrze, przyjdę.

Sarah знаła Junę od wielu lat. Znała ją dłużej niż Eliota. Razem zaczynały swoją karierę aktorską i w obu przypadkach ich rozwój zawodowy nie potoczył się tak, jak to sobie na początku wyobrażały. Juna kiedyś bardzo zazdrościła jej Eliota. Wtedy wszystkie się w nim

podkochiwały. Zazdrościła jej szczęśliwego związku. Jej nigdy nie udało się stworzyć trwałej rodziny. Obecnie żyła z trzecim mężem. Ale pomimo wszystko, zawsze były nierozłączne i były dla siebie powierniczkami swoich trosk i radości. Juna i Sarah zawsze były razem.

Po godzinie.

Mała kawiarnia w pobliżu studia filmowego.

- Juna, co ja mam zrobić? On przestał mi dawać pieniądze, odciął mnie od konta. Zwolniłam już służbę, ale pomimo to muszę spłacać kredyt. Jestem spłukana. To ogromne raty. Zabiorą mi dom, a już prawie jest mój. Za niedługo nie będę miała za co kupić jedzenia sobie i Grace. Ona ma swoje potrzeby, jeszcze nie pracuje. Musi skończyć studia. Muszę jej coś dawać. Pożyczysz mi znowu?

- Sarah, ja to wszystko wiem, mówiłaś mi to już. Więcej ci nie pożyczę. Nie mam już z czego. Ale chyba wiem jak ci pomóc.

- Jak?

- Poczekaj, zaraz ci wszystko powiem, ale wiesz co, chciałam się ciebie o coś zapytać.

- Co?

- Wiesz, że w tym środowisku plotki rozchodzą się z prędkością dźwięku. Żona jego przyjaciela wygadała się, że podsłuchiwała, że Eliot się zwierzał jej staremu, że cię zostawił, bo dowiedział się, że go zdradzasz. Czy to prawda?

Sarah zrobiła zaskoczona minę.

- Sama widzisz, jaki podły się zrobił. Gada o mnie takie

rzeczy.

- Sarah czy to prawda?
- Ale obiecaj, że Grace nic się nie dowie.
- Obiecuję, gadaj wreszcie.
- Zdradzasz, zdradzasz! Co mi to za zdrada? Pół roku temu puknął mnie taki boski mięśniak kilka razy i tyle. Przecież ja ciągle sama siedzę w domu.
- Co ty gadasz? Skąd go wytrzasnęłaś? Nic nie mówiłaś.
- O czym tu gadać. Sam przyszedł.
- Sam przyszedł?
- No przecież ci mówię. On czyścił nam basen. Taki chłopaczek. Miał może ze dwadzieścia lat.
- Co ty gadasz?
- Juna, żebyś go zobaczyła. On miał boskie ciało. Ćwiczył na siłowni. Jak ten basen czyścił, to ściągał t-shirta. Był wtedy w samych bokserkach. Miał ciało greckiego boga. Chciałam tylko sprawdzić czy taki Apollo polecą jeszcze na taką starą babę jak ja. Włożyłam bikini, nasmarowałam się olejkiem i położyłam na leżaku przy basenie. To wszystko. Nawet się nie odezwałam.
- I co?
- Żebyś to widziała. Jak tylko mnie zobaczył, jak mu stanął. Nie umiał tego ukryć. Namiot w gaciach rozstawił. Udawał, że coś robi, ale ciągle na mnie zerkał.
- I co?

Oczy Juny zapłonęły nieukrywana, emocjonalną ciekawością.

- Podszedł do mnie, uklęknął przed leżakiem między moimi nogami, zdjął mi majtki i wsadził głowę w moje krocze. Nawet się nie zapytał.

- Pozwoliłaś mu? Nie broniłaś się?
- Nie umiałam, on mnie zaczarował, omamił. Jak tylko mnie dotknął, to odleciałam. Udawałam, że śpię. Wylizał mi, a potem zdjął mi stanik i wziął mnie na stojąco. Był silny i miał podejście do kobiet.
- Było ci dobrze?
- Juna, miałam trzy orgazmy! Oszalałam. Od lat nie miałam takiego seksu. Żebyś widziała, co on miał w tych spodenkach. Podniósłby mnie tylko na nim.
- Kurde, co ty gadasz. On czyści jeszcze te baseny? Przyszedł jeszcze?
- Nie umiałam o nim zapomnieć. Przyszedł jeszcze kilka razy w przeciągu dwóch tygodni. Potem przestał. Wpuściłam go do sypialni. Mogłabym mu płacić. Był nadzwyczajny, miał fantazję. Mógł to robić przez godzinę. Miał wytrysk za wytryskiem, a ja szczytowałam razem z nim. Juna, znamy się tyle lat. Jesteśmy aktorkami, przecież mnie rozumiesz.
- Pewnie, że tak. Kiedy to było i jak Eliot się dowiedział?
- Młodzian dymał mnie pół roku temu. W lecie. Wydało się przez tę sukę.
- Jaką sukę?
- Sprzątaczkę, pokojówkę.
- Ona mu doniosła? Przyłapała was?
- No co ty? Taka durna nie jestem. Dwa miesiące temu podje....ła mi kolczyki.
- Co?
- Zawsze chowam, ale się zagapiłam i zostawiłam na toaletce.
- I co?
- Jak poszła, to się kapłam, że ich nie ma. Zadzwoiłam na policję.
- No i co?

- Przyjechała policja i Eliot. Zaczęli razem przeglądać monitoring. Zapomniałem, że na zewnątrz przy basenie też mamy kamerę. Akurat trafili na to. Juna, żebyś widziała jak to wyraźnie się nagrało.

Sarah się rozplakała i ślimtała z goryczą:

- Przecież on, jak jeździ kręcić te filmy, to też na pewno rznie młode aktoreczki. Nikt mi nie powie, że jest inaczej.

- Matko, Sarah, takie nieszczęście.

Juna czule przytuliła swoją przyjaciółkę. Trwały tak w uścisku kilkadziesiąt sekund.

- Dobra, przestań się już mazać, ja ich znam. Wszyscy aktorzy są tacy sami. Są jak dzieci. Podąsa się jeszcze tydzień lub dwa i na pewno wróci. Przecież nic takiego nie zrobiłaś. Chyba wiem, jak ci pomóc.

- Jak?

- Wiem jak możesz zarobić kasę.

- Zarobić? Nie żartuj. Ja miałabym iść do roboty? Zaczęłaś mnie nienawidzić?

- Poczekaj aż dokończę. Możesz zagrać w filmie.

- Co takiego? Juna, ja mam 53 lata, 20 lat nic nie zagrałam. Obie wiemy, że nie jesteśmy wybitnymi aktorkami. W czym ja miałabym grać? Kto zatrudni taką starą d.pę?

- Co ty gadasz, obie jeszcze jesteśmy piękne. Słuchaj, popytałam trochę w twoje sprawie, żeby ci jakoś pomóc i się dowiedziałam, że „Fabryka snów” szuka aktorki w naszym wieku, do spotu reklamowego. To musi być ktoś bardzo atrakcyjny. Szukają starej, ale nieziemskiej

laski. Nowej twarzy. Jak to określili: „dojrzałej, ale pięknej kobiety, która nie jest publicznie znana”. Sarah, jestem pewna, że szukają ciebie. To mała rola, ale dobrze płacą, możesz zostać celebrytką.

- Fabryka snów? To agencja reklamowa. Mam grać w reklamie? Nakręcą ze mną spota?

- Co ci zależy? Najlepsi aktorzy grają w reklamie.

- Co niby miałabym reklamować?

- Jakiś drogi kosmetyk kategorii beauty. Będziesz jak Naomi Campbell. Kampania skierowana jest na francuski rynek, a ty przecież znasz trochę francuski.

Sarah przez chwilę się zastanawiała, a potem się uśmiechnęła.

- Kurde, no dobra. Niech on zobaczy na co mnie jeszcze stać. Będzie casting?

- Będzie, ale ja wiem kto go wygra.

- Kto?

- Ty.

- Skąd wiesz?

- Znam tam kogoś. Nie tylko ciebie kręcą młodzi mięśniacy.

Obie kobiety spojrzały sobie w oczy.

Prawdziwa miłość I. Szpital onkologiczny w Paryżu.

Olivier już miał wychodzić, ale jeszcze się wrócił i usiadł koło łóżka matki.

- Mamo, ty nie umrzesz, prawda, nie umrzesz, prawda, że nie umrzesz, nie umrzesz.

Marlene wzięła go za rękę.

- Nie wiem synku. Zobaczymy, ale ty i tak dasz sobie radę. Wierzę w ciebie, zawsze w ciebie wierzyłam.

Musisz bardzo się starać i wszystko będzie dobrze.

- Mamo, nie zostawiaj mnie, mammo, mammo, ty nie umrzesz, prawda, nie umrzesz.

Olivier próbował skupić wzrok na twarzy matki, ale spojrzenie ciągle ociekało mu w stronę okna. Opiekunka podeszła do niego.

- Olivier, zostaw już mamę, musimy jechać. Jutro znowu przyjedziemy, chodź.

- Mamo ty nie umrzesz, ty nie umrzesz.

Marlene poprosiła opiekunkę, żeby do niej podeszła. Chwyła ją za rękę, spojrzała jej w oczy i cicho powiedziała jej imię:

- Judith.

Ona odpowiedziała:

- Wiem, nie martw się.

Olivier wyszedł z opiekunką, nerwowo się rozglądając. Nie potrafił ukryć grymasu na twarzy, choć tak bardzo się starał.

Po pięciu minutach.

- Marlene pomogę ci. Miałaś nie wstawać z łózka.
- Nie trzeba, dam sobie radę. Odłącz mi tylko wenflon. Dokończę kroplówkę jak wrócę.
- Jak lekarz zobaczy, to nas ochrzani.

Pielęgniarka na prośbę Marlene uwolniła ją od kroplówki.

- Dokąd chcesz iść? Do toalety?
- Nie, chcę pójść do kaplicy, chce się pomodlić.

Marlen miała 68 lat. Jutrzejszy dzień miał być kluczowy w jej walce z nowotworem. Operacja miała zdecydować o wszystkim, ale Marlene wiedziała już, że tę walkę przegrywa. Od czasu śmierci jej ukochanego męża przed dwoma laty, utraciła siłę ducha, siłę walki. Tak naprawdę najciężej przeżyła to, że Olivier przestał pracować. To pewnie dlatego choroba, która ją dopadła pół roku temu, mogła tak łatwo ją pokonać.

- Dasz sobie radę sama? Pójdę z tobą.
- Nie trzeba, to niedaleko, na drugim końcu korytarza. Dam sobie radę.

Marlene uklękła na klęczniku przed obrazem Matki

Boskiej, w pustej kaplicy. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Cicho wymawiała słowa swojej modlitwy:

- Maryjo, nie proszę cię o zdrowie dla siebie, wiem, że już przegrałam, że niedługo będę tam z Wami, ale błagam cię: chroń Oliviera tu na Ziemi. Oddaję go Tobie w opiece. Teraz Ty bądź jego matką, bo on tak bardzo potrzebuje wsparcia. Chroń go przed podstępem złych ludzi. Spraw, żeby sam sobie poradził. Opiekuj się nim.

Nazajutrz. Sala operacyjna. Trzecia godzina operacji.

- Szybko, zacisk. Tampon.
- Saturacja spada. Dłużej nie dam rady. Tracimy ją.
- Defibrylator, szybko. Uwaga!
- Spróbuj jeszcze raz.
- Uwaga!

Pulsometr, zamiast swojego miarowego bipu, przeszedł w ciągły ton.

- Zostaw już, Marlene od nas odeszła. Bóg tak chciał.
